Nr. 6. Lwów, 15. marca 1901. Rok XXIV.

ŁOWIEC



Prenumerata kwartalna: 1 zł. 25 ct., 2 m. 50 f., 1 rs. 25 kop., 3 fr.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Z „Typów i obrazków wołyńskich".

POBEREŻNIK (GAJOWY).

Pobereżnikami zwali tu od najdawniejszych czasów ludzi, należących do straży leśnej. Przy trwającym do 1861 roku stosunku zupełnej zależności włościan od dworu, posady te były niemal że przymusowe i przechodziły z ojca na syna, prawie z dziada na wnuka, a pobereżnicy, całemi pokoleniami, nadzwyczaj ochotnie spełniali swe funkcye, nie będąc rzeczywiście zdolni do żadnej innej pracy. Tym więc sposobem mimowolnie wyrobiła się z nich osobna klasa ludzi, uważających siebie za coś wyższego od prostego wiejskiego gminu, znających doskonale lasy, powierzone ich straży, a szczególnie dzielnych myśliwych, przeważnie tam, gdzie sam dziedzic oddawał się z zamiłowaniem temu szlachetnemu zajęciu, będącemu niemal wrodzonym u każdego polskiego ziemianina. Mówiłem już poprzednio, że przed emancypacyą włościan tutejszych, każdy gospodarz posiadający grunt czyli nadział ziemi, stanowiący wedle praw krajowych niezaprzeczoną własność dziedzica, obowiązany był za jej używalność, odrabiać tygodniowo do dworu pewną liczbę dni męskich sprzężajem lub pieszo, co już zupełnie zależało od zamożności chłopa; również tygodniowo po jednym dniu kobiecym, używanym do lżejszych robót. Naturalnie, że robota sprzężajem więcej się cenila od pieszej, i tem się też tłumaczy ówczesne dążenie dworów do zamożności poddanych mu włościan, i bezpłatne udzielanie im w razie zubożenia, roboczego inwentarza, aby gospodarz lub jak wtedy nazywano, roboczy numer, z kategoryi pieszych przeszedł do kategoryi t. zw. ciągłych, mających przynajmniej parę inwentarza roboczego, lub co lepiej jeszcze, do samopłużnych, mogących swym własnym pługiem o sześciu koniach lub wołach wyjechać na łan dworski. Taki dzień samopłużny zaliczał się zwykle chłopowi za trzy dni sprzę-

żajem, tak że w jednym dniu odrabiał on powinność za cały tydzień, a orząc dajmy na to, przez całe trzy dni na łanie dworskim, wolnym był przez tyleż tygodni od wszelkiej powinności dla pana. Dziś jeszcze starzy włościanie, z którymi rad jestem rozmawiać o dawnych czasach, mówią mi nieraz najszczerzej, że dla zamożnego i pilnego gospodarza, podobny stosunek był bardzo wygodny. Znał on bowiem tylko jednego pana, starał się spełnić należne mu powinności, a zresztą nie miał najmniejszego kłopotu na głowie, bo dwór a właściwie ten sam pan, będący przedstawicielem policyi dominialnej, był odpowiedzialny za wszelkie podatki i nałogi należne od chłopów. Dziś jak powiadają starsi chłopi, wprawdzie nie robią oni pańszczyzny, mają wszelką wolność rozporządzać swą pracą i czasem, ale zarząd gminy nieustannie bardzo srogo exekwuje od nich tak nazwane obroki czyli indemnizacyjne opłaty za wykup ziemi, podatki państwowe, składki na utrzymanie gminy, jej urzędników, szpitalu, felczera, stróża, nauczyciela wiejskiego, akuszerki, koni pocztowych, poprawy dróg, opłat na dopełnienie zapasowego magazynu zbożowego, rezerwowego kapitału gminnego i t. p., bo wszystkich tych opłat, dziś pobieranych od pojedynczych gospodarzy, nie jestem nawet wstanie wyliczyć. Bezwątpienia, że tam tylko włościanie mogą wypowiadać pewien żal za przeszłością, gdzie dawny ich pan był ludzki i sprawiedliwy, a wypowiadają to też jedynie włościanie starzy, w gruncie rzeczy arcy-konserwatywni, których te nieustanne exekucye i wexacye zarządu gminnego bardzo sprawiedliwie mogły do zniecierpliwienia doprowadzić.

Pamiętają bowiem dobrze, że za czasów pańskich, nigdy tego nie doznawali. Młodzi zaś, zrodzeni już po emancypacyi, z pewnością się z tem nie odezwą; zanadto cenią oni swoją indywidualną swobodę, to jest „wolę“ jak ją nazywają, której też często nadużywają, będąc przyzwyczajeni do względnej tolerancyi tych, którzy z urzędu powinni czuwać nad prawnem zastosowaniem, a nie nad nadużywaniem tej woli, co dziś już w przeraźliwy sposób podkopuje dobrobyt włościan, zupełnie sprzeciwiając się prawu dzielenia na drobne skrawki nadziałów ziemskich, ostatecznie jeszcze wedle ustawy nie wykupionych i doszczętnie niszczy tutejsze gospodarstwa włościańskie.

Szczodrze ziemią uposażonych przy ogłoszeniu uwłaszczenia gospodarzy, dziś już owo dzielenie gruntów zamieniło stopniowo w istny proletaryat rolny.

Niemniej jednak owa indywidualna wolność, ma wiele uroku dla ludu, i ukaz cesarza Aleksandra II. ogłoszony w dniu 19. lutego 1861 roku pozostanie na zawsze najpiękniejszą kartą historyi tego monarchy.

Uwagi te mimowolnie wcisnęły się pod pióro mnie staremu, który niespełna temu lat czterdzieści, z niespożytą, młodzieńczą, pełną zapału energią pracowałem nad arcyważną kwestyą emancypacyi włościan, przy samym jej zawiązku, w charakterze polubownego sędziego (komisarza włościańskiego), wybranego wolnymi głosy, tak szlachty jak włościan. Wspomnienia te odwiodły mnie od przedmiotu, do którego pospieszam wrócić, lecz nie mniej posłużą one do wyjaśnienia ekonomicznego bytu ówczesnych pobereżników. Było w onej epoce w ogólnym użyciu, co niemal stało się prawem zwyczajowem, że dwory utrzymywały na swe posługi bezpłatną służbę ze swych własnych poddanych. Zdawało się to nader wygodnem, gdyż dla utrzymania niższego etatu ekonomicznego, literalnie nie expensowano ani grosza gotówki. I tak na posadach gumiennych, (karbowych), przysiężnych przy magazynach zbożowych, fornalów, pastuchów, owczarzy, nocnych stróżów, których zwano wartownikami, atamanów czyli zakaznych, używanych do dozoru polnych robót, stróżów polowych, nawet niektórych rzemieślników, pochodzących ze stanu poddańczego, również też jak i pobereżników, zaliczonych do straży leśnej, widzieliśmy wszędzie tylko swoich miejscowych włościan, służących cały rok, niby to bezpłatnie.

Tak to się wówczas wydawało z boku, i sami włościanie inaczej tego nie rozumieli, mówiąc, że służą panu darmo z gruntu, to jest z nadziału ziemi. Rzeczywiście nie było to bynajmniej bezpłatną służbą, gdyż, gdy jeden z całej rodziny służył we dworze, reszta członków, tak zwanej tu semii (rodziny), osiadłej w jednej chacie i stanowiącej numer roboczy, za używalność całego nadziału to jest gruntu wynoszącego do 30 morgów ziemi, zupełnie była wolną od wszelkiej powinności, nawet od opłaty podatków państwowych, które dwór za tą rodzinę wnosił do rządu. To zaś, wedle ówczesnej niskiej taksacyi robocizny, ustanowionej około 1840 roku w t. zw. inwentarzach, wprowadzonych przez generał-gubernatora Bibikowa, wraz z różnemi dodatkowemi powinnościami, należnemi dworowi z każdej chaty, wynosiło co najmniej od 50 do 60 rubli rocznie. Każdy zaś przyzna, że temu lat kilkadziesiąt, gdy wszystko na świecie było tańszem, nie stanowiło to bynajmniej niskiej opłaty za służbę spełnianą niedbale, prawdziwie jak za pańszczyznę, wedle powszechnie wówczas używanego wyrażenia. Łudziły się więc strony obydwie, i chlebodawców i służących, będąc przekonani jedni, że nic służącym nie płacą, a drudzy, że służą zupełnie darmo.

Na takich więc prawach, dostatecznie zdaje mi się wyjaśnionych, pozostawali wszędzie dawni pobereżnicy, czyli strażnicy leśni. Jak mówiłem wyżej, stanowili oni osobną kastę, bo od wieków spełniali te posługi i trudno ich było użyć do czego innego, gdyż rzeczywiście, nic innego nie umieli. Ale przyznać potrzeba, że na swych posadach, byli wprost nie do zastąpienia. Pilnowali oni całości lasów, wedle ówczesnych pojęć, bardzo srogo względem obcych, a daleko pobłażliwiej względem swych sąsiadów z własnych wsi, mówiąc najprostoduszniej „My pańscy i las pański“. Lecz i to zależało od sprężystej ręki leśniczego, podleśniczych, a zresztą samego pana, jeżeli chciał i miał czas podobnymi drobiazgami się zajmować. Wszakże rygor pod tym względem tam, gdzie go chciano sprawiedliwie zastosować, był wielki. Nie wszczynano wówczas o kradzieże leśne, spraw w sądach pokoju, bo ich jeszcze w kraju nie posiadaliśmy, a do sądów ziemskich, to jest do policyi udawano się jedynie, w czasie przestępstw państwowych, do których podobnych kradzieży naturalnie nie zaliczano, ze złodziejami leśnymi postępowano bez ceremonii, odbierano im siekierę, wóz, sanie, chudobę, to jest sprzężaj i naznaczano sztrafy, mające być odrobione w naturze. Z własnymi włościanami postępowano doraźnie, wymierzając im na miejscu lekką karę dyscyplinarną, która była skutecznym bodźcem przeciw bezkarności, lub w ważniejszych razach, odsyłano ich do samego pana wyrokującego o tych złodziejach, na mocy przysługującego mu prawa policyi dominialnej. Jeżeli złodziej leśny pochodził z innego dominium, to odstawiano go pod wartą, przy odezwie ekonomii do jego własnego

dziedzica. Niepoprawnych zaś złodziei, zbyt często łapanych na gorącym uczynku, dziedzice oddawali do wojska w rekruty, jakby do jakiego zakładu poprawczego, co wówczas uważanem było za największą karę dyscyplinarną, z powodu służby wojskowej trwającej 25 lat. Ten sposób postępowania tak jakoś oddziaływał i taki wzbudzał postrach wśród włościan, że wówczas w epoce przedreformowej, nigdy nie słychać było o takich kradzieżach leśnych, urządzanych na większą skalę, jakie dziś tak często powodują procesy w sądach pokoju lub w oddziałach kryminalnych sądu okręgowego. Dawniej złodziej pojmany w lesie, wiedział bardzo dobrze, że nie długo wypadnie mu czekać na zasłużoną karę, gdy dziś przeciwnie, przy spisaniu protokołu przez niechętnego strażnika policyjnego (urjadnika) lub bardziej jeszcze niechętnego wójta gminy (starszynę), złodziej wraca spokojnie do domu i póki sprawa nie wejdzie na wokandę sądową, kradnie sobie dalej bezkarnie, mając przy tem niepłonną nadzieję, że postawiwszy fałszywych świadków, sąd mu winy nie dowiedzie i od wszelkiej odpowiedzialności uwolni.

Dla prostego zaś ludu, zupełnie tak jak dla dzieci, raz doznana bezkarność jest najgorszą zachętą do złego. To podług mnie jest głównem powodem, dla czego u nas, kradzieże leśne tak się rozpowszechniły.

I znowu odstąpiłem od przedmiotu, ale wierzajcie mi, że przeżywszy tyle lat na wsi, w ciągłej styczności z tutejszym ludem, samochcąc porównuję ówczesne porządki społeczne z teraźniejszymi i porównanie to nie raz wypada na niekorzyść czasów obecnych. To jest powodem, że dzisiejszej straży leśnej porównać nawet nie można z tą, którą mieliśmy po naszych lasach w czasach przedreformowych, bo wówczas rygor był większy, naturalny i doraźny. Gdzie zaś ten rygor był sprawiedliwy, tam sami pobereźnicy czuli to doskonale i z całą sumiennością spełniali swe obowiązki. Jednym z główniejszych było asystowanie przy leśnej odbiórce, tam gdzie sprzedane zostały kupcowi sosnowe belki, koronne i dębowe klepki gdańskie. O krzyczących nadużyciach, popełnianych przez żydowskich kupieckich brakarzy mówiłem już obszernie. Pobereżnik więc powinien był pomagać leśniczemu przy odbiorze materyałów w luce, rewirze leśnym, powierzonej jego dozorowi, lecz w większych leśnictwach ustanawiano zwykle jednego atamana, czyli przysięgłego nad całą strażą leśną. Obowiązkiem jego było być przy każdej odbiórce i karbować nożem na opieczętowanym długim karbie, (gdyż ludzie ci zwykle byli nie piśmienni), każdą sztukę z oznaczeniem jej długości, grubości, co się powinno było zgadzać z raportem leśniczego. Tym sposobem miano na myśli uniknąć szachrajstw żydowskich i mogących się nadarzyć nadużyć oficyalisty. Rzadko kiedy, aby taki przysiężny pod tym względem wpadał w deces, bo rzeczywiście funkcye swoją, nieraz przed dziedzicem zaprzysiężaną, cenił wysoko. Nie wiele to jednak pomagało, bo sprytny żyd brakarz potrafił zawsze z łatwością otumanić biednego, nieumiejącego czytać chłopa, choć poczciwość jego pod względem rachunków, pokazanych na karbach, trudno było podejrzywać.

Dawni pobereźnicy znali las, jak swą własną kieszeń, bo się w nim niejako zrodzili i od młodości przywykli tu w najciemniejszą noc się oryentować. Każdy z nich miał powierzoną swemu dozorowi część lasu, zwaną luką. Tam urządzał on dla siebie szałas, zwany pobereżnika budą, gdzie grzejąc się u ogniska, literalnie cały rok mieszkał i dokąd mu z własnej chaty, oddalonej o kilka wiorst w sąsiedniej wsi, przynoszono raz na tydzień chleb i nędzną strawę, którą sam sobie gotował. Nieznano jeszcze bowiem wtedy owych eleganckich domków strażniczych tzw. leśniczówek, które teraz dopiero zaczęto na Wołyniu budować.

Naznaczano wprost pobereźnika na taką to lukę, a on własnym przemysłem powinien się był zabezpieczyć od zamarznięcia i głodowej śmierci. Kiedy ten człowiek spał? to rzeczywiście nie wiadomo, kiedy nawet i czy kiedy się rozbierał, bo ledwo, że miał czas w dzień przy ognisku trochę się osuszyć i zmokłe chodaki odmienić, w nocy bowiem szczególnie, należało bardzo pilnie całą lukę obchodzić i nasłuchiwać gdzieś w głębi lasów stuku potajemnej siekiery. Jeżeli zaś kiedy niespostrzeżenie, zostało jakie drzewo z pnia spuszczone i odrazu z miejsca nie zabrane, to musiał on we dwóch lub we trzech z sąsiednimi kolegami robić w nocy zasadzki, aby w dostatecznej sile złodzieja przyjeżdżającego po skradzione drzewo, zatrzymać i do leśniczego zaprowadzić. Musiał też pobereźnik co drugi lub trzeci dzień, do niego chodzić z raportem, zwykle piechotą, bo tylko zimą w czasie polowania, wyjeżdżał dla prędszej posługi lub objechania kniei jednokonnemi sankami.

W czasie polowania, dawni nasi pobereźnicy byli wprost nieporównani i wtedy dopiero przekonać się było można, co oni rzeczywiście byli warci i co umieli. Jak dzicy Indyanie kierowali się swym wrodzonym, cudownym instynktem; lepiej od każdego najlepszego, nowoczesnego myśliwego, znali zwyczaje zwierza i niedostępne ścieżki leśne, któremi on miał przechodzić. Z pewnością, że podobne zalety mają i nasi karpaccy górale, gdy śledzą za niedźwiedziem, jeleniem lub kozicą; niemieccy strzelcy także są pod względem wytropienia zwierza bardzo przemyślni, ale oni w porównaniu z naszym wołyńskim chłopem są intellektualnie daleko wyżej wykształceni i operują na terenie o wiele łatwiejszym, bo w lasach, gdzie niemal ścieżki są zamiecione i wszędzie przecięte przesiekami dla łatwiejszego zoryentowania się. Chciałbym jednakże widzieć takiego Niemca w dawniejszych naszych lasach wołyńskich, ciemnych jak puszcza, zarośniętych gęstwiną porastająeą po bagnach, po których swobodnie przejść można tylko wtedy, gdy należycie zamarzną, gdzie linie sekcyjne, jeżeli one wyjątkowo gdzie egzystują, zawalone są często drzewami i wywrotami od burzy, i gdzie zimą wszystko pokryte nadzwyczaj wysokim i kopnym śniegiem. Przestrzenie zaś to ogromne, taką dawną pobereźnicką lukę w Niemczech z pewnością rozdzielonoby pomiędzy pięć lub sześć rewirów strzeleckich.

Gdy pan z zaproszonymi gośćmi miał zamiar zjechać do swych lasów na zimowe polowanie, wcześnie uwiadamiał o tem swe leśnictwo, które na kilka dni naprzód rozporządzało się, aby każdy z pobereźników z rana do świtu i przed zachodem słońca pilnie obcinał, to jest objeżdżał swą lukę. Powinien on był wtedy z wieczora pozacierać na śniegu wchodzące i wychodzące tropy grubszego zwierza, to jest: dzików, wilków, sarn a nawet i lisów, bo na inny drobiazg, choćby na zające, w większych lasach nie zwracano uwagi. Naturalnie że łosie i rysie, jeżeli się gdzie wyjątkowo znajdywały, najpilniej śledzić wypadało. Niestety oprócz na głębokiem wołyńskim Polesiu, nad samą granicą litewską, te dwa gatunki przedniego łownego zwierza, równie jak i nie-

dźwiedzi, trudno w tutejszych lasach spotykane, dziś już stanowią rzadki wyjątek. W właściwym Wołyniu, w jednem tylko leśnictwie Cumańskiem, powiatu Łuckiego, należącem do ordynacyi Ołyckiej księcia Ferdynanda Radziwiłła i oddalonem zaledwo o parę mil od przebiegu kolei południowo-zachodnich, znajdują się jeszcze łosie, które tam nadzwyczaj szanują, i rysie, które jako istne rabusie na sarny, niemiłosiernie tępią. Lecz w właściwym środkowym Wołyniu, dzik i wilki stanowią dotąd naszą grubą zwierzynę. Dziki w ostatnich czasach nadzwyczaj się rozmnożyły w lasach należących do dóbr Sławuckich i Szepetowieckich, jedynie dzięki wielkiej dbałości o całość zwierzostanu. Wilków mieliśmy dawniej mnóstwo na całym Wołyniu, tak, że stanowiły one prawdziwą plagę dla okolicznej ludności. Gnieździły się one nie tyle w głębi wielkich sosnowych lasów, nie tak gęsto zaludnionych, jak po lasach liściastych, bardziej zwartych i zacienionych, pokrywających jary i rozdoły wołyńskie, gdzie im łatwiej było wychowywać swe potomstwo, mając w blizkości ludne wsi z wielką liczbą bydła i owiec. Coraz bardziej od 1869 roku zwiększająca się w środkowym Wołyniu kolonizacya Czechów, korczujących nabyte przez siebie ziemie i lasy, w najniedostępniejszych miejscach, stała się powodem znacznego zmniejszenia wilków, tych istnych wiejskich szkodników. Straciły przez to nasze wołyńskie polowania, lecz zyskało wielce bezpieczeństwo społeczne. Dziś bowiem w miejscach, gdzieśmy przed 30-tu laty strzelali w głuchych, leśnych ostępach wilki gniazdowe, wznoszą się schludne kolonie czeskie, porządnie zabudowane, otoczone drzewami owocowemi, wysadzanemi wedle zagranicznego zwyczaju, po miedzach i zieleniejącym się dojrzałym winogradem, hodowanym pod murami. Tak to w krótkim przeciągu czasu w niespełna lat dwadzieścia kilka, sam kraj zmienia swój zewnętrzny wygląd, bezwiednie dążąc do cywilizacyi i postępu, którego Czesi, osiedli na prawie kolonistów, mimo wielu ich stron ujemnych, stają się w tej części Wołynia, jednym z głównych czynników. Dziś już z powodu praw restrykcyjnych przeciw obcokrajowcom przypływ ich z zagranicy zupełnie już ustał, lecz przyznać należy, że Czesi, którzy się tu w siódmym dziesiątku bieżącego stulecia gęsto osiedlili, niezmiernie wpłynęli na nowy, zupełnie dotąd nieznany wygląd tej części kraju.

Lecz wróćmy do polowania, a raczej do pobereżników, od których znowu samochcąc odbiegłem. Dotąd więc dzik pozostał tu królewską zwierzyną naszych łowów. Za nim też pobereżnicy najpilniej śledzić powinni, i po tropach odbitych na śniegu poznać: czy to stary o d y n i e c, pojedynek, czy młody trzyletni w y c i n e k, czy też s a m o t n a m a c i o r a chodzącą osobno, czy m a c i o r a z w a r c h l a k a m i (prosiętami) i wiele ich za sobą prowadzi. Wszystko to pobereżnik powinien po śniegu jak z książki wyczytać, nigdy się w tem nie myli, jest nawet w stanie określić, kiedy mniej więcej zwierz przechodził, co się łatwo daje poznać po świeżym lub nocnym szronem okrytym tropie. Objeżdżając swą lukę w około, ale zawsze pod wiatr, wiedzial on doskonale, jakie stadko sarn do niej z nocy wskoczyło, czy gdzie nie przebiegł myszkujący lis, mógł nawet powiedzieć, w jakiem miejscu najwięcej tropów, igrających z sobą wśród jasnej mroźnej nocy zajęcy. Ale to były już wiadomości drugorzędne. Jeżeli zaś gdzie spostrzegł ślady wilcze, to obowiązkiem jego było najpilniej za nimi śledzić, aby wiedzieć, czy w susach biegły za jaką zdobyczą, czy też spokojnie przeszły przez lukę na drugą stronę, i w jakim mianowicie kierunku, czy też wreszcie gdzieś pod wywrotem na cały dzień nie obległy, coby dowodziło, że są najedzone i że łatwo je w kniei objechać, aby natychmiast na nie zapolować. Wilk bowiem, jako szkodnik i rabuś, miał w takim razie prym przed dzikiem, i wedle reguł myśliwskich, pierwszy strzał mu się należał. Objazd taki powinien był pobereżnik dla pośpiechu, odbywać własnemi jednokonnemi saneczkami, nadzwyczaj cicho i ostrożnie, aby gdzie nie spłoszyć sarn, często stojących w gęstwinie nieopodal od drogi. Należało mu pocichutku z saneczek zeskoczyć, aby zatrzeć wchodzące i wychodzące tropy, co służyło do myśliwskiej kontroli i uważać skąd wiatr pociąga, aby dobrze zaprowadzić nagonkę, zwaną po tutejszemu o b ł a w ą.

Gdy pan z gośćmi przyjedzie na oznaczony w lesie punkt zborny, to należy cierpliwie czekać powrotu wszystkich pobereżników, wysłanych na objazdy, aby z ich szczegółowych raportów, wnosić od jakiej kniei polowanie rozpocząć. Wybór ten należał już do leśniczego lub łowczego, kierującego całem polowaniem, bo tu jak na wojnie, jedność władzy i wielka karność są niezbędne. Czasem w wyjątkowych razach, posyłano jeszcze raz pobereżnika, dodając mu drugiego do pomocy, dla krótszego obcięcia leżącego w miejscu, to jest w legowisku, najczęściej w ogromnem mrowisku, starego odyńca, lecz wtedy trzeba było słyszeć, jak ci ludzie pomiędzy sobą się naradzali, zkąd mają się rozjechać, gdzie mianowicie mają się nanowo spotkać, oznaczając dokładnie miejsca i nazwę lasowych uroczysk, różnymi tak zwanymi p r y k m ę t a m i, to jest wywrotami, jamami, lub jakąś tam olbrzymią b a r t n ą s o s n ą jakiegoś Ostapa lub Sydora, to jest jednego z przodków owych dawnych pobereżnickich antenatów, (bo i ci ludzie mają swą arystokracyę), który przed kilkudziesięciu laty hodował w dziuple odwiecznego drzewa dzikie pszczoły. Najczęściej zaś dla ścisłego oznaczenia miejsca, mówili o znanem myśliwskiem stanowisku, na którem kiedyśto dawniej przed laty, taki to pobereżnik lub zresztą ojciec dziś żyjącego pana, kulą powalił ogromnego dzika lub ubił kozła sadzącego w susach po strzale. Za ich powrotem rozdzielano strzelców na dwie partye, mieszając lepszych z gorszymi, aby wedle wskazówek pobereżnika zrobić w kniei konieczny załom w linii myśliwych, obliczano całą obławę (nagonkę) złożoną z wiejskich chłopaków, powierzając jej prowadzenie kilku pobereżnikom, z których jeden w centrze a dwaj po skrzydłach, powinni byli na wiatr wystrzelić zaraz, gdy tylko obława huknie i ruszy z miejsca, w celu aby zwierz, często bardzo nieposłuszny, szczególnie jeżeli to stary, nie raz już goniony odyniec, nie rzucił się wstecz. Poczem dopiero ruszano piechotą po cichu, starając się aby mroźny śnieg jak najmniej skrzypiał pod nogami.

Starszych i poważniejszych gości podwożono saneczkami bliżej do oznaczonego im stanowiska. Stary wytrawny strzelec, zwykle zwany w większych leśnictwach atamanem pobereżników, z uszanowaniem podprowadzał gościa na stanowisko, nizko im się kłaniając, cichutko udeptywał głęboki śnieg, nieznacznie obłamywał gałęzie dla ulatwienia strzału, szeptem objaśniał skąd ruszy obława i wiele będzie w kniei tzw. pustych strzałów, tlumacząc, że następny dopiero strzał, będzie do grubego zwierza, i w końcu odchodził, żegnając nieznacznie to miejsce

krzyżem świętym, bo polowanie na dzika, szczególnie na rannego po strzałach, bywało nieraz bardzo niebezpieczne.

Postać takiego pobereźnika, była zwykle bardzo typowa i charakterystyczna. Wysoki, dobrze zbudowany, zwykle o sympatycznej twarzy i jasnych mądrych oczach, widzących bardzo daleko, miał ten stary chłop wołyński, ruchy swobodne, prawie elastyczne. Szczególnie podziwiałem zawsze, sposób chodzenia tych ludzi, prawdziwych dzieci natury, żyjących ciągle w lasach i chód ich porównywałem do owego sławnego pas gymnastique, którym się żuawi w armii francuskiej odznaczali. Kto wie jednak, czy nasz poczciwy pobereźnik nie prześcignął by w chodzie nie jednego żuawa, szedł bowiem ogromnymi krokami lekko, posuwiście, lecz bardzo szybko, nie wydając najmniejszego szelestu, omijając po drodze suche gałęzie, tak że jak cień przesuwał się wśród ogromnych sosen. Pilnie jednak rozglądał się na wsze strony i nic nie uszło jego uwagi. Odziany w sukmanę z kapturem z własnego wełnianego samodziału, w taką samą czapkę rogatywkę, zwaną na Wołyniu magierką, która okrywa głowę podgoloną wedle mody staropolskiej, dotąd zachowywanej pomiędzy ludem tutejszym, po wsiach bardziej oddalonych od kolei i centr cywilizacyi, tam gdzie włościanie trzymają się jeszcze stroju swych ojców i dziadów. Na nogach nie buty, które tylko do cerkwi i na jarmark używa, lecz lekkie z lipowej kory chodaki tak zwane postoły, zgrabnie obmotane rzemykami po grubych wełnianych onucach, co doskonale nogę ochrania od zimna.

Takim się dotąd przedstawia pobereźnik ze starego autoramentu, jeżeli się jeszcze gdzie zachował w całej czystości swego typu, o czem jednak wątpię, bo starzy z roku na rok wymierają, a młodzi wstydzą się już ubioru swych ojców i dziadów. Przez plecy miał pobereźnik nieodmiennie przewieszoną dużą borsuczą torbę, własnego wyrobu i trąbkę myśliwską dla odtrąbienia leśniczemu, lustrującemu jego lukę, u pasa kozik na długim rzemyku i kopciuszek tz. hamaneć z hubką i krzesiwem, dla rozniecenia ognia w lesie. Co rzeczywiście zawierała ta jego ogromna borsucza torba, to już nikomu nie było wiadomem, zapewne trochę prostego tytoniu (machorki) własnej chodowli, nieco chleba, sadła, soli i kilka pieczonych kartofli, a być może, starannie zawinięty w szmatkę witerunek na lisa, dla brania go na żelazo. Skórka bowiem lisia, potajemnie sprzedana żydowi, była szczytem marzenia każdego pobereźnika.

Z pewnością, że na polowaniu przy panu i gościach owa niezgłębiona torba mieściła w sobie magierkę czyli rogatywkę pobereźnika, aby jej ciągle nie zdejmować lub o gałęzie nie zaczepiać. Nie ma zaś obawy, aby podgolona jego czupryna przemarzła na mrozie, bo od dzieciństwa jest do tego przyzwyczajoną. Na lewem zaś ramieniu na sukiennej krajce lub rzemyku, przewieszona jednorurkowa flinta w lipowej lub olchowej osadzie, niewiadomego pochodzenia, wyrobu być może wiejskiego kowala, powiązana sznurkami i odrutowana dla mocy, z której pobereźnik rzadko kiedy chybiał choć często z niej strzelał na ogromną metę za uchodzącem z kniei zwierzem, lub za głuszcem wysoko ciągnącym nad sosnami. Nieraz to mnie rzeczywiście w podziw wprowadziło, póki się nie przekonałem, że u wielu takich pobereźników zdarzają się przekazane z ojca na syna jakieś lufy tureckie lub hiszpańskie ze ślicznym dziwirem, zupełnie już startym, Bóg wie skąd pochodzące. Ten który miał szczęście posiadać podobną, donośną strzelbę, niezmiernie ją szanował, nikomu jej nie powierzał w obawie, aby mu jej kto nie zamówił. Jeżeli flinta zaczęła żywić, to jest, jeżeli raniła zwierza, nic obalając go na miejscu, to ją chłop wedle swego pojęcia odżywiał, kładąc do lufy jadowitego węża, zwanego u ludu gadziną, którego należało zaraz po północy żywego jeszcze z lufy wystrzelić. To był jeden z niezawodnych sposobów dla zdjęcia uroków ze strzelby. Pobereźnicy używali ogromnych nabojów prochu i śrutu, a szczególnie grankulek, częściej jeszcze ołowianych siekańców, tak że literalnie od wystrzału kurek przy twarzy odwodziło. Jedną dużą loftkę zawiniętą w kłaki, pakowali zwykle w lufę, szczególnie na grubego zwierza, bo wogóle kulą rzadko który z nich dobrze strzelał. Nabój pobereźnicki bywał zwykle bardzo huczny i głośny i z łatwością się go w kniei odróżniało od innych wystrzałów. Na zrobiony im z tego powodu zarzut, odpowiadali zwykle ludowem myśliwskiem przysłowiem, w swem własnem narzeczu, „że flinta powinna być tak silnie nabita, aby się dostało po kozi i po łozi", to jest i sarnie i łozie. Dawni pobereźnicy tak byli zaufani w donośność swej własnej broni, że z niedowierzeniem przypatrywali się naszym pięknym myśliwskim strzelbom. Szczególnie broń odtylcowa w podziwienie ich wprawiała, nie mniej nie zgodziłby się za nic pójść z nią na grubego zwierza. Dotąd mnie staremu żywo stoją w pamięci te piękne chwile niezrównanego zachwytu myśliwskiego, gdy wśród imponującej ciszy leśnej, trąbka skrzydłowego pobereźnika dawała hasło, aby obława z miejsca ruszała. Wnet potem, z daleka bardzo, z głębi kniei, zaczęły się odzywać nawoływania nagonki, którą zaledwie odróżnić było można od majestatycznego szumu odwiecznego lasu sosnowego. Gdzieś wysoko przelatywał kruk, dając znać o sobie głośnem potrójnem krakaniem, lub krzykliwa sojka, wedle podania ludowego, uprzedzała strzelca o ruszeniu zwierza. Tymczasem wszystko jeszcze było cicho w głębi boru, iskrzącego się w promieniach bladego, zimowego słońca, przezierającego przez gałęzie diamentami zmarzłego śniegu. Taki w około ciebie panował spokój w całej uspionej zimowej przyrodzie, że mimowolnie stawało ci się lekko i błogo na sercu, bo chwilowo czułeś się oderwanym od wszelkich trosk i drobnych zabiegów, zamącających ci życie codzienne, i mimowolnie czułeś się bliżej Stwórcy, którego spokojnie i niemo sławiłeś w całem Jego stworzeniu. Gdzieś tam nad twą głową kuł sobie pracowity dzięcioł, szukając w korze robaczków, sam zaś stałeś nieruchomo jakby przyrosły do sosny, z dubeltówką w ręku i z sercem mocno bijącem jak młotem pod myśliwską lisiurą. W tem ozwał się strzał jeden, drugi, trzeci. Oczekujesz niecierpliwie czwartego, jako już pewnego do objechanego dzika. Lecz oto i on huknął ci gdzieś w prawo i głośne echo rozniosło się po borze. Wytężonym wzrokiem patrzysz w tę stronę. Strzały się zbliżają, serce mocniej ci bije. Słyszysz głośne „pilnuj! pilnuj!" i rozjuszony ranny odyniec, pieniący posoką, z gęstwiny wypada ci na połeć. Z zimną krwią, jak stary, doświadczony strzelec, mierzysz mu w komorę i rozciągasz go kulą celnym strzałem, na kilka kroków od swych stóp. W tej chwili wypada z gęstwiny zadyszany pobereźnik, tropiący tę bestyę od kilku dni z okrzykiem radości „Nu, sława Bohu, że jasnemu panu się tak dzielnie udało", butnie przykłada

trąbę do ust dla odtrąbienia zwycięskiego potrupnego z dodaniem głośnego okrzyku: „Na upadł, na upadł“, co wszyscy inni myśliwi i pobereżnicy i cała nagonka doskonale rozumieją i spiesznie podążają do ciebie, bo tym jednym celnym strzałem stałeś się mimowolnie królem polowania i ogromnie wyrosłeś w opinii pobereżników, owych synów leśnej natury, nadzwyczaj wysoko ceniących doniosłość strzelby i pewność kierującej nią ręki. Nie na tem jednak kończył się tryumf króla polowania. Jeden z pobereżników przystępywał natychmiast do patroszenia dzika, co robił nadzwyczaj umiejętnie, wydobywał bardzo zgrabnie śmiertelną z niego kulę, którą komplementem w pięknym swym rusińskim narzeczu, ofiarował dzielnemu strzelcowi, bo wedle starej tradycyi myśliwskiej, podobna kula stanowiła nadzwyczaj cenny talizman i była zawsze nader szczęśliwą. Nie obeszło się też bez różnych komentarzy o trafności strzału, o tem jak zwierz ruszył z legowiska, jak się początkowo rzucił na obławę, gdzie go owe puste strzały napłoszyły, jak później składał w stronę myśliwych, jak w susach sadził po nad linią strzelców, obliczono w końcu wiele zjadł strzałów, póki go ten ostatni na miejscu nie powalił. Trzeba było słyszeć jak pobereżnicy, obrazowo to opowiadali, jak im się przy tem oczy z radości iskrzyły, bo wszyscy oni byli ochoczymi, dzielnymi myśliwemi, to już od młodości tkwiło w ich naturze, i taki tryumf był dla nich prawdziwą uroczystością.

Tymczasem duże obozowe ognisko, do którego ochocze chłopaki, coraz więcej ściągali suchych kłód i gałęzi, wesoło strzelało w górę, liżąc niemal konary pięknych, mimo zimy zielonych sosen. Wesoło się więc liczna czereda myśliwska około niego grupowała. Przygrzewano duże rądle wyjęte z sanek, obficie napełnione wołyńskimi zawijanymi ziazami z hreczaną obwarzaną kaszą i polewane garnki z tradycyonalnym hultajskim bigosem na kapuście, którego w miedzianych naczyniach nigdy przewozić nie należy, służba dobywała baryłki i puzderka z napojami, zaczęła z rąk do rąk krążyć srebrna czarka ze słynną wołyńską starką. Straż leśna ustawiała szeregiem, jak u nas mówią w ł a w ę wszystkich chłopaków i strzelców włościan, dla rozdania im po blaszance prostej siwuchy, stanowiącej dla nich istny specyał. Szlachta minorum gentium i strzelcy przybrani z waszecia, raczyli się osobno z rąk którego z podleśniczych i spożywali dary Boże pozostałe po gościach, należących do rzędu honoratiores. I jak one zakropione kieliszkiem starki i oblane w końcu szklanką pieniącego się piwa lub lampką wytrawnego miodu, wyśmienicie smakowały, jaki to u każdego był apetyt, pobudzony rannem wstaniem, ruchem i owem zdrowem balsamicznem powietrzem. Brano jeszcze jedną knieję przed zachodem słońca, bo dnie już krótkie o tej porze roku, i wracano wesoło na leśniczostwo, gdzie się w kilku pokojach rozlokowywała dobrana i ochocza myśliwska drużyna, posilając się nie wykwintnym lecz wszystkim doskonale smakującym obiadem. Cały wieczór mimo zmęczenia, nie ustawały jednak rozmowy o różnych epizodach dzisiejszego polowania, opowiadano sobie dawniejsze przygody, zabarwiając je znanymi konceptami myśliwskimi, często zupełnie nieprawdopodobnymi i w końcu szło się na spoczynek, marząc o nowych tryumfach w dniu następnym.

Tryumf ten jednak mieli panu i gościom przygotować nasi skromni pobereżnicy, którzy zaledwo posiliwszy się resztami pańskiego obiadu i osuszywszy się nieco w ciepłej izbie, szli się trochę przespać do jakiej sąsiedniej chaty, bo ich własna była zwykle daleko. Zaraz bowiem po północy po długiej naradzie z leśniczym lub łowczym, musieli saneczkami wyjeżdżać na obcinki swych luk, tak aby szarzejący świt zastał ich już w lesie, i aby mogli nazad pospieszyć z raportem, póki panowie się nie przebudzą o porannej godzinie.

Tak więc mniej więcej wyglądali nasi dawni wołyńscy pobereżnicy ze starego autoramentu, do którego dzisiejsi o całą piędź nie dorośli, bo są tylko lepszymi lub gorszymi strażnikami leśnymi, a co do myśliwstwa, nieudatną tylko kopią swych poprzedników. Dawni bowiem byli prawdziwymi myśliwymi z powołania, bo z tem zrośli się od młodości, to było niemal w ich dzielnej naturze, a nasze wielkie polowania tu pobieżnie naszkicowane, były dla nich istną uroczystością, na którą cały rok z upragnieniem oczekiwali. Oprócz bowiem spełnienia własnego służbowego obowiązku i zadowolenia własnej satysfakcyi, dostawali nie raz sute napiwki od przyjezdnych gości. Jak tu bowiem nie wynagrodzić takiego zucha, który cię nieraz za sobą w pojedynkę doprowadzał na strzał do legowiska ogromnego dzika, spokojnie spoczywającego w mrowisku lub zimą objeżdżał stado wilków tak umiejętnie, że żaden się z tych szkodników nie wykręcił. O kunszcie ich odwabiania i obrzucania ich sieciami, o czem nowocześni myśliwi nie mają nawet przybliżonego pojęcia, mówiłem obszernie w jednej z poprzednich prac moich. Wspomnieć jednak muszę, że niektórzy pobereżnicy, których luki obejmywały lasy czarne, tak zwane liściaste, doskonale umieli wytrapiać borsuki i zarządzali na nie dla pana i gości śliczne polowania wśród nocy księżycowej, gdzie borsuka, zawzięcie broniącego się przed psami, zakłuwano oszczepami czyli pikami. Wszystkie psy prowadził prosty kundys, specyalnie do tego przez pobereżnika ułożony. Rezultat zawsze był znakomity, a polowanie dziwnie interesujące. Trzeba było jednak przedwcześnie pozatykać wszystkie jamy, aby borsuk wracający z żeru, w nie się nie schronił; znać doskonale las i specyalnie ułożyć do podobnego polowania psa który dziwnem chrapliwem szczekaniem ostrzegał myśliwych o zwierzu, i to się też nigdy nie obeszło bez pomocy miejscowego starego pobereżnika.

Dla tego typy owych dawnych wołyńskich pobereżników są dla mnie, i sądzę, że dla każdego czciciela św. Huberta tak sympatyczne, bo przypominają nam lata naszej młodości, gdy się doznało tyle rozkosznych wrażeń wśród pięknych lasów wołyńskich, nie tak jak dziś wyniszczonych. Niestety, typy te coraz bardziej wymierają, tak że się wkrótce już nie spotkamy z prawdziwym wołyńskim pobereżnikiem ze starego autoramentu.

Pisałem w październiku 1897 w Mizoczu.

Józef Dunin Karwicki

„JEREMIASZ SĘP“

Z powieści Aleksandra Fredry ojca.

(Ciąg dalszy).

„Ładujcie wozy! Kulbaczcie
„Konie!... łowy już skończone,
„Dalej w drogę! A co tchu!“
Czeladka Bogu dziękując,
Że od czarta ją ochrania,
Do roboty biegła w lot.
I gdy słońce zaświtało,
Z miejsca ruszył pierwszy wóz.
Wtem z dala coś tam zadudni,
Coraz bliżej... tentent konia,
Ktoś pod górę pędzi w cwał.
Wszakci to stary Matjaszek,
Co z objazdu spiesznie wraca,
Czapką w ręku młyńca tnie,
A przed panem gdy osadził,
Z konia para szła jak dym.
„Jak Boga kocham, jest panie,
„Jest, przed świtem zabił wołu,
„Jeszcze ciepły znalazł ścierw.
„Przewalił łąkę jak sanie
„I w Kalnickiej obległ debrze...
„Tam spać będzie cały dzień,
„Ale spieszyć nam się trzeba,
„Bo to kraju tęgi szmat“.
Tak mówił stary Matjaszek,
A jak wryty Cześnik słuchał,
Zęby ścięte, oko w słup.
I skończył stary Matjaszek,
A jak wryty Cześnik słuchał,
Ręka tylko mięła list.
Mięła, tarła, aż przez palce
Wkrótce biały leciał proch.
Dwie żądze równie gwałtowne,
Równo wrzały w jego duszy,
Wściekły z sobą wiodły spór.
Myśliwstwo stało w milczeniu
I czekało nie bez trwogi,
Co rozkaże srogi pan.
Aż wykrzyknął: „Dalej na koń,
Zapoluję jeszcze raz“.
Na wąskim wkrótce uszyjku,
Gdzie jałowce tylko rosły,
Gdzie kóz tylko bity ślad,
Stał Cześnik konno sam jeden,
Na kulbace oparł strzelbę,
A na cynglu palec miał,
Bo jeżeli już nie wyszedł,
Tędy niedźwiedź musi wyjść.
Krew nocną wieścią wzburzona
Niecierpliwość w nim wzmagała
I myliła rozmiar chwil.
Już podług jego rachuby
Już powinny były dawno
Na zastępach psiarnie stać,
Już tropowiec dojść niedźwiedzia,
Nad barłogiem głosu dać.
Schylony leży na grzywie,
Słuch wytęża, oczy wlepia
W nieprzejrzany świerków świat;
To ściska konia piętami,
To wędzidłem go podrywa,
To włos z głowy sobie drze,
To znów w piersiach tchy zapiera,
Słucha, patrzy... nic i nic.
Nareszcie konia pocisnął,
Aż podkowy ognia dały,
I jak wicher pomknął w las.
Ni co zoczył, ni co słyszał,
Ale pewny, że już niedźwiedź
Dawno z miotu musiał wyjść,
Chciał czemprędzej gniew wyzionąć,
Chciał się zemścić na kimbądź.
Lecz ledwie na ścieżce,
Nad urwiskiem... napotkany
Oko w oko niedźwiedź stał.
Zaryczał, spiął się na zadzie
I uderzył łapą w łapę...
Niestrwożony strwożyć chciał.
I z nad konia ogień błysnął
I jak piorun wypadł strzał.
Nim jeszcze dym się rozwionął
Już na miejcu strzelec skręcił,
Ale jednak późno już,
Bo niedźwiedź dopadł go z tyłu,
Jedną łapą walnął konia,
Aż na zadzie usiadł koń,
Drugą łapą sięgnął w górę,
Cześnikowi czapkę zdarł.
Nadbrzeźna wszakże drożyna
Pod ciężarem się usuwa...
Rwie się nagle cały brzeg,
I brzeg, koń, niedźwiedź i strzelec,
Jakby jedna wielka bryła,
Wielki odłam górnych skał,
Od urwiska do urwiska
Z hukiem, grzmotem leci w dół.
A kiedy w głębi przepaści
Zdruzgotany koń drga jeszcze,
I ostatnie zionie tchy,
I kiedy strzelec w pół góry
Na kolczastym wisząc krzaku
W koło siebie bryzga krwią
I w powietrzu się kołysze,
Jak złamany drzewa szczyt,
Zwierz wściekły bolem i zemstą
Jęknął ryknął, wstrząsł kudłami
I do walki gotów stał.
Pogardzał nędznym tropowcem.
Co cichaczem pędząc w tropy
Już na oko teraz wziął,
I z uboczy naszczekiwał,
Jakby wołał: Tu jest, tu!
Pogardzał koniem jak ścierwem,
Ale w górze zwietrzył wroga
I pod stromy skoczył brzeg.
Kamienie chwyta, kamienie
Zsuwa na dół, z sobą razem,
Chwyta zielska, zielska rwie,
Trzykroć wraca, pnie się trzykroć,
I po trzykroć pada wstecz.
Tymczasem głosem tropowca

Ze zastępów psy wiedzione
Gonią z wrzaskiem z wszystkich stron.
Zrozumiał niedźwiedź tę wrzawę,
Skoczył, wrócił, spojrzał w górę
I nareszcie w gąszczu znikł,
A zaledwie w gąszczu zniknął,
Obok konia Cześnik padł.
Trzy on dni leżał bez zmysłów,
Smarowano wódką z mydłem,
A cyrulik puszczał krew.
Trzy doby leżał, a czwartej
Tłukł, mordował, bił każdego,
Kto mu tylko w ręce wpadł
I nie tracąc jednej chwili
Ku domowi wyszedł z gór.

Strzał w komorę czy łopatkę?

przez ALBERTA MNISZKA.

Mowa tu naturalnie o strzale kulą do grubego zwierzu. Jest to kwestya, o której się dużo mówi i którą nie raz się roztrząsa, gdy gruby odyniec, dostawszy dobrą kulę, nie ruluje na miejscu lub zrulowawszy, wstaje, zaciąga się w gąszcze a czasem i przepada. Następuje wtedy po polowaniu ożywiona dyskusya o broni, kuli i sposobie strzelania. Myśliwi dzielą się na dwie partye: jedna utrzymuje, że strzał w komorę jest najśmiertelniejszy, bo w niej leży serce, druga, że w przednią łopatkę, bo pa takim strzale zwierz zwykle ruluje, czego o strzale w komorę powiedzieć się nie da.

Nie czuję się na silach kwestyę tę stanowczo roztrzygnąć, chcę nad nią z jednej strony otworzyć dyskusyę, mając nadzieję, że niejeden z doświadczeńszych odemnie myśliwych głos w tej sprawie zabierze, z drugiej strony chciałbym tu wyrzec moje osobiste przekonanie, nabyte praktyką i własnem rozumowaniem.

Przypatrzmy się Niemcom i ich polowaniom na jelenie. Zacząwszy od cesarza austryackiego i dworu a skończywszy na ostatnim z wybitnych myśliwych, na wszystkich ich „Hochwildjagdach“ było i jest dotąd regułą: strzał w łopatkę (Blattschuss). Strzał w komorę, bez względu na rezultat, uważany bywa za zły, tak jak i strzał w krzyż, po którym zwierz każdy na miejscu zostaje. Dlaczego? Czy jest to moda, kaprys, czy tkwi w tem jakiś słuszny powód? Rozważywszy tę kwestyę, zobaczymy, że mają racyę ci wielcy myśliwi a to z następujących powodów:

Sztuciec expressowy i kula expansywna są to dwie rzeczy u Niemców na polowaniach na jelenie zupełnie nieużywane i nawet z reguły zakazane. Dwór austryacki i myśliwi z nim polujący, mają co do broni ostry przepis, przeciw któremu wykroczyć nie wolno. Do czasu wejścia w użycie broni małokalibrowej używano tam na jelenie sztućca jednostrzałowego o bardzo wielkim kalibrze, zwanego popularnie „Erzherzogiem“ i strzelano z niego kulą pełną o stożku mocno ściętym. Taka kula ogromna i ciężka uderzywszy w łopatkę, wychodziła przeciwną, gruchotała więc obie i nadwyrężała w związku z niemi będący stos pacierzowy. Zwierz tak trafiony, jeżeli nie padał w ogniu, musiał to uczynić po kilkudziesięciu krokach. Kula taka uderzywszy w komorę, jeżeli natrafi serce w swym biegu, była równie dobrą, jeżeli jednak przeszła od niego o kilka centimetrów, mogła zwierzowi pozwolić pójść i milę. Kul expensywnych do jeleni nie używano z następujących powodów:

1. W strzale w gąszczu, na zrębie w maliniakach kula łatwo expanduje trafiwszy na gałąź albo w najlepszym razie zbacza.

2. Uderzywszy w łopatkę expanduje na kości z drogi nie wchodząc czasem w środek.

3. Nie przechodzi na wylot, często więc po strzale następuje krwiotok wewnętrzny i jeżeli zwierz nie padnie w ogniu, z reguły w takich razach przepada, bo nie zostawia po sobie kropli farby.

Tyle o Niemcach i ich jelenich polowaniach; posłuchajmy teraz, co pisze w tej kwestyi sławny podróżnik i myśliwy francuski, Edward Foa, w swem najnowszem dziele p. t. Mes chasses en Afrique 1900:

„Strzał w łopatkę z boku, jest wyborny, ale trzeba mierzyć w sam środek łopatki. Wtedy kula kruszy obie kości i nadweręża kolumnę pacierzową. Zwierz jest zupełnie ubezwładniony. Zwierzęta drapieżne i niebezpieczne trzeba kłaść trupem od razu albo czynić niezdolnymi do dalszej walki. Trzeba przeto wiedzieć, co się robi i jak się robi. Ze strzaskanemi łopatkami, z przetrącona kością pacierzową, zwierz łap i pazurów nie użyje, ani naprzód nie skoczy. Można go dobić łatwo. Ale gdy jest zwyczajnie raniony, choćby nawet w serce, lew potrafi drogo sprzedać swą skórę“.

Wróćmy jednak do naszych kniei! W dżunglach i stepach afrykańskich mało kto z nas polować będzie! Pytam się więc raz jeszcze: gdzie posłać kulę grubemu dzikowi? Na to pytanie odpowiem, ale tylko za siebie: w komorę. Gdziekolwiek kula expressowa trafi, byle w komorę, zwierz na pewne mój. Widziałem wypadki, jakoteż słyszałem z ust nawybitniejszych myśliwych w kraju, że dziki trafione w łopatkę rulowały w ogniu, ale po kilku minutach wstawały i często na zawsze dla myśliwego straconemi były. Tej zimy wpakowałem raz doskonałą kulę z expressa cal. 500. w łopatkę samurze. Ta ani strzału nie zaznaczyła, ani nie farbowała i gdybym był jej drugą kulą nie trafił, byłbym był myślał że pierwsza chybiła celu. Tak się trafia, bo kula expansywna trafiwszy w grubszą część kości łopatki i to jeszcze pod kątem, expanduje w niej nie wszedłszy w środek.

Inaczej ma się rzecz z kulą z broni małokalibrowej. Bez względu, czy ona jest expansywną, czy pełną, przebija, jak to opisuje Foa, najgrubszego zwierza na wylot i czy trafi w komorę, czy w łopatkę, jest piorunującą, a zwierz nią trafiony musi stać się łupem łowca.

By dać przykład kolegom myśliwym o szalonej sile perkussyjnej broni małokalibrowej, przytoczę im jeszcze jeden ustęp z leżącego przedemną dzieła Foego:

„Jakoż polowanie udaje mi się nie źle, zabijam antylopę, ale w jakich warunkach. Pierwszym strzałem postrzeliłem ją. Po długiej ucieczce zatrzymała się za grubem drzewem. Nie mogąc zajść z boku, bo mnie spostrzeże, po niewielkim namyśle walę do niej przez drzewo kulą „solid“ (pełną) ze sztućca cal. 303. Kula przeszła przez pień gru-

bości 55 centymetrów i strzaskała łopatkę antylopie, która zatoczyła się i padła martwa“.

Zakończę już moją rozprawę, nie chcąc nadużywać cierpliwości kolegów myśliwych, ale na zakończenie wypowiem osobiste me zapatrywanie:

Jak długo strzelamy z wymierających już expressów, mierzmy do zwierza w komorę.

Albert Mniszek.

Korespondencye.

Lwów, 2. marca 1901.

Utartym zwyczajem kończą się sprawozdania łowieckie podziękowaniem sprawozdawcy za gościnność gospodarza, za to, że otwarto przed nim podwoje gościnnego domu, że pozwolono mu razem z gronem towarzyszy użyć wśród uroczej natury przy dźwięku trąbki i huku strzałów myśliwskich rozkoszy.

Utarty to zwyczaj, ale też trudno z nim zerwać, trudno tem bardziej, gdy właśnie ta gościnność ujawniła się najpierw w uprzejmem zaproszeniu na polowanie, gdy jej zawdzięcza się wyznaczenie stanowiska, na którem szczęście się uśmiechnęło, gdy ona to właśnie sprawia, że z uroczej kniei, z gościnnego domu wraca się z pełną wspomnień głową, które na długo okraszają szary tryb codziennego życia.

I nie dziw także, że posełając do *Łowca* sprawozdania z zimowego polowania w Rozhurczu, mimowoli taki wstęp zamieściłem, bo chyba trudno o więcej miłe wspomnienia jak z tego polowania — trudno o gościnniejszych gospodarzy.

Polowaliśmy w Rozhurczu 23. lutego br. w strzelb trzynaście — zjazd był tym razem w Łukawicy niżnej u p. Włodzimierza Barańskiego, i on też prowadził polowanie — a jak prowadził, to bez moich zapewnień wie każdy, kto choćby tylko raz polował u pp. Włodzimierza i Tadeusza Barańskich.

Mimo obfitego śniegu i niezbyt silnego mrozu, dzień fatalny, bo od rana dął szalony wicher, nad ziemią unosiły się tumany śniegu, a w kniei taki szum i huk panował, że zaledwie było słychać trąbkę i strzały.

Raporty z dnia poprzedniego zwiastowały 45 dzików w kniei — raport ranny w lesie wykazał 52 otropionych dzików — można więc sobie wyobrazić, z jakiemi uczuciami zajmowaliśmy stanowiska.

Miotów wzięliśmy pięć, z tych dwa w Rozhurczu, dwa w Siemiginiowie a jeden w Łukawicy, w wysokie góry, w sławne „żydowskie zręby“ nie można się było zapuszczać, wskutek zbyt wielkich śniegów, choć i tam były dziki otropione, braliśmy tylko te mioty, w których było po kilka lub kilkanaście dzików.

Różowe nadzieje wcale nie zawiodły, bo na rozkładzie było 9 dzików, 1 rogacz i 1 lis, dziesiątego dzika znaleziono następnego dnia a parę poszło prócz tego postrzelonych. Aby dać miarę ilości dzików, które w tym dniu dały sobie widocznie rendez-vous w Rozhurczu, wystarczy nadmienić, że na trzynastu myśliwych dwunastu strzelało do dzików, z tych kilku miało po dwa i trzy a nawet i cztery spotkania, strzelano przytem, aby się oględnie wyrazić, nieświetnie — w trzecim miocie np. były dwa stada dzików i pojedynczy ogromny odyniec widziane i strzelane, padła tylko jedna locha.

W ostatnim miocie było stadko warchlaków, w drugiem stadzie sześć grubych sztuk, pojedynczy odyniec i dwie pojedyncze grube sztuki, padły tylko trzy sztuki, a postrzelony poszedł odyniec i parę warchlaków.

Prawdziwe królewskie łowy! przy trochę spokojniejszem powietrzu i trochę lepszem strzelaniu byłoby na rozkładzie pewnie 20 dzików, a i tak rezultat w pięciu miotach mieliśmy wspaniały.

A przy tem wszystkiem urok górskiej kniei, widziane ze stanowiska, spowite śniegiem gór olbrzymy, lub u stóp leżąca i niknąca w niebieskawej dali dolina Stryja, głęboki śnieg popisany tropami jeleni i dzików, jakiś szmer tajemniczy idący z głębi parowów, mówiący nie bez racyi, że tam pełno zwierza, a przy tem wszystkiem w prowadzeniu polowania cała nowoczesna umiejętność i kultura łowiecka, to są czynniki, które pozwalają zaliczyć Rozhurcze do jednej z pierwszych kniei w kraju, które nie dają zapomnieć o wrażeniach stamtąd wyniesionych, i łączą się mimowoli z pragnieniem, by jeszcze kiedyś, wśród miłych druhów, usłyszeć dźwięk trąbki w Rozhurczu, łamiący się echem o góry i skały.

W. S.

Brykula nowa d. 10. lutego 1901.

Przesyłam do umieszczenia w „Łowcu“ rezultat całorocznego polowania w roku 1900, na dzierżawionych gruntach gminnych Brykula nowa — Hajworonka — Burkanów i na obszarze dworskim Brykula nowa: złapanych chartami 51 zajęcy, 4 kozły, 5 lisów; zastrzelonych 12 zajęcy, 1 lis, 30 kaczek dzikich, 11 krzyków, 8 dubeltów, 5 jastrzębi i 9 puhaczów. Jeden lis przed chartami schował się do jamy na oko wyglądającej na lisią, a przy wykopywaniu wyciągnięto lisa i ogromnego borsuka.

Lisów bardzo wiele jest po polach — gdy będzie lepsza pora zimowa, to będzie można je wyłapać chartami — choć dotychczas bezkarnie chodzą, bo ani razu jeszcze nie było pola na charty — i gdyby faktycznie ta ilość nie dała się zmniejszyć, to na drugi rok rozmnożą się ogromnie — a do tego w sąsiadujących lasach Eksc. hr. Siemieńskiego już dwa lata nie robiono polowań. Jak się lisy rozmnażają, niech posłuży za przykład następujący wypadek. Gdy wykopywano w czerwcu lisa z jamy na łanie w życie — przy pomocy jamników wyciągnięto równego wzrostu 7 młodych lisiurków a starego nie było — przeto widocznem, jak silny jeden rzut lisi.

Stan zajęcy ładny — kłusowników nie ma — co jest zwykłym objawem, gdy dzierżawca polowań lub właściciel jest myśliwym.

Bolesław Siedlecki.



Batiatycze, dnia 27. stycznia 1901.

Ostatnią sąsiedzką biesiadę myśliwską urządził nam w Dalniczu p. Ludwik Markowski.

Czas był okropny, śnieg z deszczem zalepiał formalnie oczy, to też i goście nie dopisali, ale delegat się zjawił i we dwójkę zapolowaliśmy mając do pomocy trzech ze służby. Wzięliśmy 7 miotów, zające i sarny zmykały kontente flankami — a jednak padło 16 zajęcy, 3 rogacze, 1 lis, a mogło paść trzy razy tyle, gdyby nie pudła. Knieja ta posiada wszelkie warunki dla zwierzyny, okolona do koła polami, łączy się z lasem kłodzieńskim, gdzie stan zwierzyny jest śliczny — gdy się uda jeszcze osadzić paru amatorów na jakiś czas na rekolekcyi w Mostach, to na rok przyszły będzie mógł się pochwalić szanowny gospodarz ślicznym stanem zwierzyny.

Na zakończenie dodam, że dziś otrzymałem listowną wiadomość o znalezieniu młodych tegorocznego rzutu zajączków zmarzniętych, byłoby to nadzwyczaj wcześnie. Donosi mi o tem p. Gigel z Mostów, zawołany myśliwy i amator zwierzyny.

Tadeusz Romanowski.

W Zdziarach, d. 4. lutego 1901.

W ogólności cała ustawa łowiecka potrzebuje koniecznej i gwałtownej reformy, ja zaś wspominam obecnie tylko o jednym punkcie, który w jakikolwiek sposób niezreformowany, prowadzi do zupełnej zagłady łowiectwa w Galicyi.

Według ustawy, czynsz z polowania, należy rozdzielić pomiędzy pojedynczych członków gminy, w stosunku do posiadania gruntów.

Sprawa ta praktykuje się w ten sposób, że albo gmina jako taka, fundusz ten przeznacza dla naczelnika gminy, lub naczelnik gminy samowolnie sobie czynsz dzierżawny z polowania zabiera lub też zapisuje w rubrykę dochodów gminnych, a wyjątkowo chyba tylko, ma miejsce repartycya pomiędzy członków gminy.

Ten ostatni wypadek nie praktykuje się nigdy, chyba tylko wtedy, gdy chodzi o ominięcie ustawy, czyli o wykazanie na papierze, że ustawie zadość uczyniono.

W obec tego stanu rzeczy, wszelka uczciwa konkurencya przy zadzierżawieniu prawa polowania jest wprost wykluczoną, a przytoczę z praktyki fakt następujący:

Pewna gmina na gruntach piaszczystych położona obejmująca 1200 morgów, o położeniu pod każdym względem najniekorzystniejszem dla zwierzyny — staje obecnie do licytacyi — podsuwając jednego z wieśniaków i składając solidarnie do rąk jego 800 koron, by w każdym wypadku polowanie zalicytował i kaucyę złożył.

Polowanie to nie przedstawia wartości nawet 40-tu koron, dzierżawca jednakowoż może licytować nawet wyżej 1000 koron, gdyż ryzyka nie ma żadnego, bo faktycznie za polowanie nic nie płaci, natomiast uśmiechają mu się nadzwyczajne zyski, miejscowym zaś kłusownikom zupełna swoboda. W tej samej i sąsiednich gminach, pewien właściciel obszaru dworskiego, posiada w łącznej przestrzeni, nie mniej nie więcej tylko 20.000 morgów lasu, gdzie zwierzostan do tej pory jest prześliczny.

Gdyby więc właściciel ten chciał w każdej gminie zapłacić po 1000 koron, jedynie za to, aby mu jego własnej zwierzyny kłusownicy i niby to dzierżawcy polowania gminnego — nie wytępili — musiałby ponieść stosunkowo ogromne ofiary, lecz i te nie doprowadziłyby do żadnego celu, bo po latach 5-ciu musiałby płacić po 2000 koron itd. itd.

Z powyższego wynika jeden jedyny tylko ten pewnik, że po latach kilku, na przestrzeni mniej więcej 30.000 morgów, zwierzyna ulegnie zupełnej zagładzie.

Nie jestem prawnikiem, lecz rozumię, że tu ustawa działała w duchu sprawiedliwości, nie jestem politykiem, rozumię jednakowoż i to, żc w grę tu wchodzi konstytucya i równouprawnienie, nie może jednakowoż w mej ciasnej głowie pomieścić się to pojęcie, ażeby nieudolnie zestawiona litera prawa, dawała prawo i podstawę do gwałtu publicznego, szwindlów i fałszerstw, by dalej jak w tym wypadku bogactwo kraju rabowano bezkarnie jedynie dla tego powodu, że ludowcy nie rozumiejąc własnego interesu, dążą całymi siłami do zupełnego wytępienia zwierzostanu w Galicyi!

Przekroczyłbym kompetencyę swej wiedzy i uzdolnienia w kierunku ustawodawstwa i znajomości prawa, gdybym tu chciał podawać warunki, w jakich ustawa łowiecka ma być zmienioną.

Ten zakres działania do mnie nie należy i pozostawiam tym, którzy mają do tego prawo, zaznaczam li tylko fakt, że zamiast naprzód, dążymy szybkiem tempem w tył i jeżeli tak dalej pójdzie, w najbliższej przyszłości pisać będziemy o zającu i sarnie tak, jak dzisiaj rozpisujemy się o żubrach...

Michał Gottwald.

Tarnów, 18. lutego 1901.

Gdy biurokracya przeniesiona w sądach w zasłużony stan spoczynku, z okazyi wpowadzenia w życie nowej procedury, znalazła przytułek w autonomii tak dalece, że uronienie pół godziny z przepisanego czasu urzędowania, pociąga za sobą kary doczesne i potępienie w życiu przyszłem, o wyniku zimowych polowań w tutejszej okolicy niewiele mogę donieść, a ci co mają czas do polowania i tym sportem się zajmują, potępiają naukę pisania, w obec czego *Łowiec* nie może liczyć na tak obfite lecz nieprzystępne źródła.

Niech ta skromna korespondencya będzie głosem łabędzia przy konającym sezonie zimowych polowań.

Jak to już w poprzednich relacyach z akcentem podniosłem, stan zajęcy w tut. powiecie, mimo starań ze strony posiadaczy obszarów łowieckich, z każdym rokiem się zmniejsza, składa się na to kilka okoliczności jakoto: częste polowania sąsiadów na pomykanego w jesieni i wybijanie tym sposobem w większej ilości samic niż samców, rozgałęzione w tut. powiecie klusownictwo, prawie tolerowane, bo dziś można dostać za gotówkę kuropatw, świeżych zajęcy a handel nie jest wcale ukrytym, ale jawnym. Gdyby nie popyt za zwierzyną w czasie zakazanym, kłusownik skazany na skonsumowanie ukradzionego kopyry lub sarny, utraciłby animusz do kradzieży zwierzyny, gdy jednak wie o tem, że publiczność w marcu, kwietniu i maju kupi świeżo ubitą zwierzynę, oddaje się tej zakazanej czynności dla mamony.

Nie dziw więc, gdy polowania na zające wypadły z ujemnym w stosunku do lat poprzednich rezultatem, to też prawdziwi nimrodzi, dla których dybanie na czomber biednego szaraka nie jest *ultima ratio*, zadowoleni byli, gdy św. Hubert litując się nad szarakami, w mocy swej

krzywił strzały „jankornych" strzelców, a ja choć dzierżawię kilka obszarów gminnych ogłosiłem w ubiegłym sezonie amnestyę dla kuternogów.

Natomiast stan sarn jest w Tarnowszczyźnie i państwie Radłów imponującym a dowodu na to dostarczyły urządzone przez znanego w myśliwskim kunszcie nadleśniczego w lasach Radłowskich, p. Karola Scherautza, polowania w dniu 31. stycznia 1901 w rewirze „Maryś" gdzie w 10 strzelb ubito 12 kozłów, 8 lisów i 27 zajęcy i dnia 12 lutego 1901 w rewirze „Biadoliny" gdzie w 12 strzelb pozostawiono na rozkładzie 9 kozłów i 6 lisów, bo do zajęcy nie strzelano. Lecz nie z ilości strzelanych kozłów wnosić trzeba o nader wielkim stanie sarn, co najmniej drugie tyle wykpiło się od śmierci, ale z tego przekonać się można było, że w rudlu złożonym z 18, 16 i 14 sztuk znajdował się jeden cap. Czy takie pielęgnowanie nadmiernej ilości starych, bo imponujących rozmiarami siut, wpływa dodatnio na zwierzostan i na młode kultury lasowe, tego nie mogę twierdzić, bo już w *Łowcu* dosyć napisano, że te arcymiłe stworzenia, mogą się czasem zaliczać do rzędu wielkich szkodników lasowych, gdy czereda złożona z 50 lub więcej sztuk poczuje apetyt na wierzchołki kultur szpilkowych i zjadłszy takowe, udaremni pracę leśnika a młodych drzewek pozbawi przyszłości racyonalnej wegetacyi. Jakkolwiek w państwie Radłowskim tępią na różne sposoby lisie plemię, to przecież równy i przeważnie piasczysty teren sprzyja lisowi i dlatego nie mało kit wyginie tam podczas zimowych polowań.

To wyrzekłszy pakuję moją broń do futerała na spoczynek a szanownym Czytelnikom mówię do widzenia w lipcu, gdy doniosę o czerwonych kozłach i kaczkach.

Dr. E. W.

Jankowce, 6. marca 1901.

W lasach Płotyckich ubito w r. 1901:

Rogaczy 19, zajęcy 84, słonek 2, kuropatw 26, kaczek 28, dubeltów 2, przepiórek 8, lisów 37, w jamach zniszczono młodych lisów 28, psów 44, kotów 29, orłów 1, jastrzębi 12, wron, srok etc. 186.

Jeden rewir wyłączony był zupełnie w całym roku od polowań na zwierzynę pożyteczną.

W innych rewirach $1/5$ część obszaru zostaje corocznie wyłączona od polowań.

Głównymi szkodnikami są tutaj: lis, pies i pastuch, bo lis przeważnie mnoży się w zbożach i z tego powodu tylko w miesiącach zimowych i to przy śnieżnej zimie tępienie go możliwe a są tu pokolenia, które stale unikają lasów, gdyż w polach czują się bezpieczne.

Pies towarzyszy w dzień koniom lub bydłu w polu i poluje z nudów a w nocy z amatorstwa i konieczności odżywiania się. Zrządza on tu wielkie szkody, w czem wielce pomocną jest mu ustawa 300-tu metrowa, która może dla samego miasta Lwowa (za instancyą starych panien, przepraszam kogo należy) była obmyślana a tylko przypadkowo, (niewątpliwie przez pomyłkę zecera), wydrukowano ją dla całej Galicyi.

Nasz pastuszek, który przy pełnieniu swych funkcyi ma wiele czasu do różnych rozmyślań, wyrozumował sobie swym zdrowym chłopskim rozumem, że niezłem źródłem ubocznych dochodów byłby handelek młodemi sarenkami. Po kilku próbach okazał mu się ten sposób zarobkowania bardzo praktycznym, gdy za sarenkę, którą łatwo się łowi, bo jedno głośne krzyknięcie wystarcza, by się położyła i dała uchwycić, płacą w stolicy Podola 6 do 10 koron i jest to wcale nie droga zabawka dla dziatek miejskich, które i tak nie mają żadnych innych przyjemności.

Od handlu tego nie opłaca się ani podatku ani akcyzy, sarna nie ukąsi, a ustawa nasza, ta jest w ogóle bardzo grzeczna, przewidziała i to, że jeżeli pastuszek nie beształ, ani bił zaprzysiężonego strażnika łowiectwa, gdy mu odbierał kilkotygodniową sarenkę, nie staje się winnym ani kłusownictwa ani kradzieży, bo sarenkę przecież strażnikowi oddał. Lis, pies i pastuch musi wyrządzać największe szkody, bo polują przeważnie na młódź i to w porze lęgowej.

Bardzo ujemnie na rozmnożę wpływa tutaj i sposób polowań u sąsiadów, bo w dzień pozwalają polować każdemu, kto o to poprosi, w nocy strzela na zasiadce gajowy, lokaj, kucharz, mielnik cały rok, podjeżdża w nocy sarny żerujące, a w tej porze wszystko rogacz, urządza się nawet polowania, gdzie dzień po dniu bierze się te same mioty czyli wybija się co do nogi. To jeszcze szczęście, że nie ma strzelb o litrowych nabojach śrótu. Po sezonie ileż tu siut z połamanymi badylami się plącze!

Biedne sarny pouczone doświadczeniem trzymają się więcej pól i to wynioślejszych pagórków, skąd mogą lepiej baczyć na zbliżającego się nieprzyjaciela. Jeden strzał dany w lesie jest sygnałem dla sarniej drużyny, by wynieść się na swe strażnice w polu.

Brak wody w lasach i polach nie przyczynia się także do rozmnoży, bo zwierzyna zmuszona poić się w Serecie lub stawach wodą bagienną, ginie na motylicę, której rozwojowi sprzyja także żywienie się w zimie zmarzłą oziminą w braku innej paszy, nie znam bowiem sąsiada, któryby choć garścią jakiej karmy obdarzył z głodu ginącą zwierzynę.

Prosimy św. Huberta, by wziął nasze knieje w opiekę, niestety i on widocznie stracił głos i powagę w sercach zatwardziałych zbrodniarzy.

W. C. Piotrowski.

Brody, 7. marca 1901.

Na ostatki sezonu kożlego polowałem w Korsowie, u pani Antoniny Horodyńskiej. Zaproszeni myśliwi nie przyjechali, nawet Onufry Horodyński w ten dzień, tj. 28 lutego, polował w Łopatynie.

Zebrano zatem kilku amatorów strzelców, p. Jan Horodyński, p. Aulich, mały Boguś H., no i ja, kilkunastu nagonki. Sanie proste i ruszyliśmy do lasu, p. Jan prowadził polowanie doskonale. Trzeba wiedzieć, że p. J. Horodyński dopiero od kilku lat zrobił się myśliwy ze strzelbą, dawniej pamiętam, dziki objechano, a on z laseczką chodził po lesie, nawet go nie korciła strzelba, a był wojskowy, bracia jego wszyscy bardzo dobrzy myśliwi, ale nie było pasyjki. Aż teraz — i to dobra. Strzela jak Karwer, wszystko kulami, doskonale, a i śrótem na błocie, dubelty, krzyki i na kuropatwy, przepiórki, idzie, co mu sezon przynosi. A jest majster, dawniej zegarki poprawiał, różne śliczne rzeczy robił, a teraz zrobił się rusznikarzem. Widziałem łoże jego roboty, naprawdę żeby Nowotny lepszego nie zrobił. Ale dosyć o poruczniku, jedziemy na polowanie, ledwie wjeżdżamy do lasu, już kilka sarn pomknęło, między niemi rogacz z rogami, porucznik chciał

żebym strzelił, tymczasem poszły, nim byłem gotów. Pierwszy miot, były sarny, poszły flanką, drugi, wyszło na porucznika kilkanaścioro, chciał na mnie napędzić; napędził na strzelców, padło 9 strzałów i dwa rogacze zostało. Następnie ja zabiłem lisa, którego stawiając mnie na stanowisku, porucznik zapowiedział. Południe, panie przywiozły śniadanie, jedzenie i gawędka zabrała godzinkę i dalej polowanie. Mówi porucznik, że muszę strzelać do rogacza, ale muszę flankować.

Wszystko ruszyło na saniach. Ze sani stawiał na stanowiskach. Mnie zostawił pierwszego i mówił, że będę podchodził aż do linii; zatrąbiono, nagonka idzie, już niedaleko, aż tu przed nagonką idzie pięcioro sarn, krzyczą „ne-daj„ — nim doszły do linii flankowej, widzę że trzecia i czwarta sztuka rogacze z rogami, przepuszczam i daję dubletę; po miocie dzięki składam porucznikowi, bo formalnie mi powiedział miejsce, którem sarny miały przejść. Stan sarn w Korsowie jest świetny, po kilkanaście wychodziło razem. Strzałów było bez liku, ale jak kilkanaście idzie, pada 7 strzałów i nic, ledwo jeden rogacz i tego nie dostaliśmy, porucznik nie strzelał, chociaż mógł, ale wolał, żeby inni strzelali. Padło 6 rogaczy i 3 lisy, ja naturalnie trzy strzały dałem i trzy sztuki zabiłem, jak zwykle nie chwaląc się! Listę zabitej zwierzyny przezemnie w tem sezonie myśliwskim podaję:

1 odyniec, 1 orzeł, 1 jarząbek, 5 słonek, 22 jastrzębi przy puhaczu, 12 rogaczy, 10 lisów i 158 zajęcy. Dubeltów 28, ale mało polowałem, bo pies legawy mi zginął. W lutym byłem u ordynata Czarkowskiego, rogaczy tam mnóstwo, mogłem co dnia jeździć, ale raz tylko jeździłem wieczorem. Strzeliłem raz i spudłowałem rogacza. Sztuciec nie był mój. Zamki twardo spuszczały, naturalnie musi być jakaś przyczyna. Zato uszczuliśmy 6 lisów, szóstego uduszono dymem w jamie. Na lisy poluje się co dnia ogniem i mieczem, bardzo się za to chwali gospodarza. A teraz czekam na tok cietrzewi i ciąg słonek, o czem nie omieszkam donieść do *Łowca*.

Marceli Tyszkiewicz.

Turówka 8. marca 1901.

Dobrze i pożytecznie jest mieć każdą sprawę dokładnie wyjaśnioną i unormowaną, to najpewniejsza asekuracya od błędów i za nimi idących przykrości.

Zbliża się chwila przylotu różnych zwiastunów wiosny, a między nimi tych laskonogich rabusiów, których praszczur już na chacie śp. Piasta Kołodzieja gniazdo sobie urządził, a na polach jego zjadał bezkarnie przepiórki i kuropatwy, o czem wprawdzie kronikarz dyskretnie przemilcza, my jednak, znając godnych potomków, wątpić o tem nie mamy powodu.

Przykro jest zrywać z wszelką tradycyą, a nikt nie zaprzeczy, że bocian zawsze był w wielkiem u nas poszanowaniu. Dlaczego? To właśnie ciekawe. Że jednak nikt z doktorów i mędrców dokładnie i zadowalająco wyjaśnić tego nie zdołał, wypada wnioskować, że to był fawor niezasłużony, a nawet całkiem niewłaściwy, wobec dowiedzionej szkodliwości tego ptaka, którego pielęgnować nie należy.

Błądzić jest rzeczą ludzką, ale nie godzi się w błędzie uznanym rozmyślnie trwać. Śmierć zatem bocianom!

A jednak —

Krzak tarniny rosnący na miedzy, dobrze wieśniakowi zawadza, bo pługiem i broną omijać go musi, a przecie go nie wyrzuci, — „ta naj tam roste“, — bo ma jakiś przesąd. I boćka nawykł wieśniak widzieć w polu i na dachu, spokojnie żyjącego, a choć mu nie jedno kaczę pewno sprzątnął, nie czuje do niego urazy, bo mu to pochlebia, że właśnie jego strzechę obrał sobie na mieszkanie.

Nie należy pewnie pochwalać zabonów i przesądów, ale z poziomem umysłowym tej młodszej braci, która je pielęgnuje, wypada się liczyć. Bo „zrozumieć trzeba na to, żeby wybaczyć“, a kto zrozumieć nie zdolny, ten rzuci kamieniem. Ja przynajmniej, choć przekonaany o szkodliwości bociana, nie radbym, bez pewnego oficyalnego prologu być tym, który rozpocznie w mojej okolicy tępienie jego.

Mam co prawda i inne ważne do tego powody. Chociaż bowiem w smutnym kawalerskim stanie, pół wieku już dożywam, nie są mi tajne znakomite zasługi bociana około wzrostu populacyi; a wielkie mam wyrozumienie, ba nawet współczucie, dla wszelkich trudnych sytuacyi, z których bez współpracownictwa wybrnąć ciężko. Czy jednak bociana kim innym, mniej szkodliwym dla zwierzyny, zastąpić by się nie dało, możeby ankieta ekspertów nad tem się zastanowiła. Nie wiem wprawdzie kto ją zwoła, z góry jednak od współudziału uchylić się muszę, jako niefachowy. A nim ta decyzya zapadnie, śmiało mogę zapewnić interesowanych, że jeszcze bocianów dla nich wystarczy. Inne teraz czasy, i inne młodych ludzi cele i zamysły. Przeciętny bocian przy dobrych chęciach, parę powiatów teraz obsłuży.

Ale żarty na bok.

Mam przekonanie, że jest wskazane, żeby Wydział Tow. Łowieckiego oficyalnie orzekł, że na podstawie badań i doświadczeń, uważa się bociana za wielkiego szkodnika w gospodarstwie łowieckiem, i nie należy go ochraniać, i orzeczenie to ogłosił w *Łowcu*. A w następstwie pożądanem by było, żeby panowie Starostowie, między którymi wielu jest myśliwych, a przynajmniej polujących, zechcieli w przystępny sposób zaaplikować to naczelnikom gmin, z poleceniem pouczenia o tem całej ludności wiejskiej.

Bronisław Rozwadowski.

Bursztyn 8. marca 1901.

W dniu 18. lutego b. r. polowano w Łukowcu w lasach p. Rosenwiesena w 8 strzelb i ubito: 1 dzika, 2 rogacze i 1 lisa.

Dziki były w kilku miotach i strzelano do nich dość, jednak niefortunnie. *M.*

Sprawozdania łowieckie.

W. Księstwo Poznańskie.

M. Nekla, wł. hr. F. Żółtowski, d. 27 i 28. grudnia polowano w kotłach w polu i trzy mioty w lesie i zabito w 9 i 10 strzelb razem 510 zajęcy. Stan zajęcy bardzo dobry — lisów nie widziano. Strzelano tylko do zajęcy.

Galicya:

Powiat jarosławski, m. Rozbórz, wł. p. Fr. Łastawiecki, polowano d. 14. stycznia w polach — zabito 1 lisa i 23 zajęcy. M. Rączyna, wł. p. Stefan Prek, polowano w strzelb 10 d. 17. stycznia — zabito 1 lisa i 13 zajęcy. M. Pruchnik, polowano d. 24, 25 i 26 stycznia w strzelb 10 — zabito dzików 5, rogaczy 2, lisów 3, zajęcy 77 i 3 jarząbki. M. Rozbórz długi, wł. p. Z. Wolski — dnia 14. stycznia w 5 strzelb zabito 1 rogacza, 1 lisa i 37 zajęcy. M. Rozbórz okrągły, wł. p. Łastawiecki, w 9 strzelb 16. stycznia zabito 1 lisa i 40 zajęcy. M. Cieszacinek, polowano d. 31. stycznia w 5 strzelb — zabito 15 zajęcy.

Powiat jasielski, m. Bieżdziedza, wł. hr. Stanisław Zborowski, w strzelb 10 zabito d. 18. grudnia 1 rogacza, 1 lisa, 11 zajęcy i 1 sowę. M. Brzyszczki, wł. Dr. Feliks Gaszyński, zabito w 10 strzelb d. 20. grudnia 1 rogacza, 2 lisy i 16 zajęcy. M. Świerzchowa, wł. ten sam — w 11 strzelb zabito d. 12. stycznia 2 lisy i 9 zajęcy. M. Krajowice, wł. p. Macudziński — w 5 strzelb zabito d. 31. stycznia 1 lisa i 15 zajęcy, 1 cietrzewia i 1 jarząbka.

Powiat kamionecki, m. Rusiłów, wł. p. Klemens Torosiewicz, ubito w 15 strzelb d. 22. stycznia: 6 rogaczy, 1 lisa, 51 zajęcy. Zajęcy mało, kuropatw dużo wszędzie, ciąg słonek bardzo dobry.

Powiat kołomyjski, m. Michałków, wł. p. S. Simonowicz, d. 23. stycznia zabito w 4 strzelby: 2 dziki, 1 rogacza i 10 zajęcy. M. Piadyki wł. kniaź Roman Puzyna, d. 31. stycznia ubito w 8 strzelb: 7 rogaczy, 1 lisa, 41 zajęcy. M. Czeremchów, wł. p. M. Linde, polowano d. 28. i 30. stycznia 1901 w 2 strzelby i ubito 4 rogacze i 7 zajęcy. Zajęcy z powodu gruźlicy mało — innej zwierzyny dosyć.

Powiat krakowski, m. Aleksandrowice, wł. ks. Lubomirski, ubito d. 26. stycznia w strzelb 10, rogaczy 2, zajęcy 49. Zające były w polu, jedyny miot brany w polu dał 17 zajęcy, ponieważ zaś inne mioty brano wyłącznie w lesie, rezultat dał o połowę mniej zwierzyny niż się spodziewano.

Powiat krośnieński, m. Lubatowa, Jasionka Cergowa, polowano w 4 a względnie w 6 strzelb w dniach 7 i 29. grudnia i 18 i 31. stycznia, ubito: 3 rogacze, 4 lisy i 10 zajęcy.

Powiat liski, m. Wola Michowa, Smolnik i Łupków, wł. gr. kat. kapituła przemyska, w strzelb 2 ubito: 1 dzika, 5 lisów, 16 zajęcy i 2 wydry. Dzików było dosyć, w czasie nawalnych śniegów wynosiły się do Węgier, zajęcy nie wiele, lisów dużo.

Powiat lwowski, m. Tołszczów, wł. Eksc. hr. Roman Potocki, polowano d. 22. stycznia w strzelb 16, zabito: rogaczy 16, lisów 4, zajęcy 5. Pięć miotów brano na dziki, zatem pierwszy strzał do dzika, myśliwi odnieśli to wrażenie, że można było zabić 25 do 30 rogaczy. W jednym miocie padło 10 rogaczy. Dziki poszły chybione. Polowanie prowadzone doskonale przez p. zarządcę Kowalskiego z podwójną nagonką. Stan sarn ogromny, zajęcy mało, dzików dużo, lecz trudno dają się wypędzić z gęstych zapustów świerkowych na linię myśliwych. Z powodu okiści całe mnóstwo zwierzyny wracało na nagonkę. M. Bilka szlachecka, wł. ks. Jan Sapieha, dnia 30 i 31. grudnia polowano na polach i zabito w 4 strzelby: 1 rogacza i 42 zajęcy. Dnia 2. stycznia polowano w dziale lasu „Tupały“, zabito w 5 strzelb: 3 rogacze, 1 lisa i 24 zajęcy. Stan zwierzyny w ogóle dobry. M. Barszczowice, wł. Eksc. hr. Siemieński-Lewicki, d. 24. grudnia polowano w 6 strzelb, zabito: 6 rogaczy, 10 zajęcy. M. Basiówka, wł. kapituła łać. lwowska w strzelb 14 zabito d. 18. grudnia: rogaczy 6, lisów 2, zajęcy 10. Na zabitych 10 zajęcy padało 7 do 8 samców. Sarn więcej niż zajęcy, kuropatwy przezimowały dobrze, trzymają się stale stadkami blisko wsi i na polach.

Powiat łańcucki, m. Kańczuga, wł. p. J. Kellermann, w strzelb 12 zabito d. 16. stycznia: 14 zajęcy, z powodu okiści zające, sarny i dziki cofały się na nagonkę. M. Łańcut, wł. polowania Towarzystwo Diana, polowano w strzelb 10 w polach, zabito 88 zajęcy.

Powiat mielecki, m, Rzemień, wł. p. Gustaw Szaszkiewicz, w strzelb 16 zabito d. 21, 22 i 23 stycznia 1 dzika, 9 rogaczy, 7 lisów, 44 zajęcy, 1 cietrzewia i 1 jarząbka. Stan sarn świetny, knieja głęboka, więc zajęcy mało.

Powiat mościski, m. Krysowice, wł. hr. Stanislaw Stadnicki, dnia 30. stycznia zabito w 4 strzelby 20 rogaczy, 2 lisy i 24 zajęcy. Zajęcy bardzo mało, w tym rewirze padało do 70 zajęcy w jednym dniu. M. Nikłowice, wł. hr. Felicya Fredrowa, zabito d. 15. stycznia w 10 strzelb, 1 rogacza i 36 zajęcy. Zajęcy bardzo mało.

Powiat myślenicki, m. Głogoczów, wł. p. Stefan Konopka, w 7 strzelb zabito d. 26. stycznia, 4 rogacze, 2 lisy i 35 zajęcy.

Powiat nowosądecki, m. Biegonia, wł. polowania Kółko myśliwskie, polowano na czarnem polu d. 22. grudnia w 13 strzelb i zabito, 2 lisy i 15 zajęcy. Stan zajęcy w terenach górzystych dobry, nad Dunajcem gorszy z powodu wylewu. Kuropatw więcej niż w latach poprzednich. Kłusownictwo kwitnie na wielką skalę.

Powiat pilznieński, m. Przyborów, wł. hr. Mikołaj Rey, polowano d. 14, 15 i 31. stycznia w 8 6 i 5 strzelb i zabito, razem 6 rogaczy, 6 lisów, 69 zajęcy i 1 jastrzębia. Stan zajęcy w lesie poprawił się znacznie, lisów jest mniej niż w innych latach, cietrzewie, których było trzy pary od lat pięciu, obecnie znikły zupełnie.

Powiat podhajecki, m. Mużyłów, wł. p. Franciszek Bocheński, zabito w w r. 1900 3 rogacze, 16 zajęcy, 1 lisa, 2 borsuki, 1 jastrzębia. M. Żurawieńko i Kozary, wł. p. Aleksander Krzeczunowicz, zabito d. 30. stycznia w strzelb 8, dzików 1, rogaczy 3, lisów 6, zajęcy 16. Pierwszy strzał był do dzika. M. Bołszowce, właściciel ten sam, polowano d. 31. stycznia w strzelb 8, zabito 3 lisy, 25 zajęcy.

Powiat przemyski, m. Ruska wieś, wł. hr. Jadwiga Weissenwolff, w strzelb 5 zabito d. 29. stycznia 3 rogacze, 2 lisy i 17 zajęcy. Zajęcy ogólnie znacznie mniej.

Powiat przemyślański, m. Chlebowice świrskie, wł. p. Leon Szyszkowski, zabito d. 30 i 31. stycznia w strzelb 15 i 6, dzika 1, rogacza 1, lisów 2, zajęcy 19, jarząbka 1. Stan zajęcy zadowalniający. M. Zadwórze, wł. p. Hipolit Bochdan, d. 25 i 26. stycznia zabito w strzelb 8, rogaczy 8, lisów 3, zajęcy 65. Polowano na czarnem polu. Zajęcy mało, kuropatw wszędzie dużo, ciąg słonek bardzo dobry. M. Połtew, wł. p. Michał Torosiewicz, zabito d. 31. stycznia w strzelb 5, rogaczy 3, lisów 1, zajęcy 14. M. Majdan lipowiecki, wł. pol. Towarzystwo myśliwych w Przemyślanach, zabito d. 11. stycznia w strzelb 7 w 5 godzin, rogaczy 2 i 19 zajęcy, strzałów 61.

Powiat rohatyński, m. Konkolniki, wł. lwowskie Arcybiskupstwo łacińskie, d. 23. grudnia zabito w strzelb 5, lisów 2 i zajęcy 15. M. Dydiatyn, właściciel ten sam, zabito d. 23. stycznia w 7 strzelb, 5 lisów, i 9 zajęcy. Stan zajęcy zadowalniający, ale większa część zamotyliczona. Sarn mało, lisów wiele.

Powiat rudecki. m. Tuligłowy, wł. p. Stanisław Bal, zabito d. 19. stycznia w 9 strzelb, 13 rogaczy, 6 lisów i 67 zajęcy. M. Werbiż, wł. kapituła łacińska lwowska, zabito d. 27. grudnia w strzelb 10, rogaczy 4. lisów 3, zajęcy 9. M. Sajków, wł. kapituła łacińska lwowska, zabito w strzelb 10, rogaczy 5 lisów 1, zajęcy 6.

Powiat rzeszowski, m. Szklary, wł. p. Zdzisław Skrzyński, zabito d. 17. stycznia w strzelb 3, rogacza 1, zajęcy 8. M. Siedliska, wł. pol. Towarzystwo myśliwskie rzeszowskie w strzelb 5, zabito 23 zajęcy d. 22. grudnia. M. Biała, wł. pol. ten sam, d. 24. grudnia zabito w strzelb 10, rogaczy 3 i 19 zajęcy. M. Zaczernie, wł, Eksc. Adam Jędrzejowicz, d. 29. grudnia w strzelb 8, zabito 5 rogaczy, 1 lisa i 36 zajęcy. M. Jasionka, wł. p. Stanis aw Jędrzejowicz, w strzelb 10 zabito dnia 31. grudnia 64 zajęcy, M. Borek nowy, wł. br. Adolf Brunicki, w strzelb 4 zabito d. 3. stycznia, 1 rogacza, 1 lisa i 23 zajęcy. M. Kielnarowa, wł. pol. Towarzystwo myśliwskie rzeszowskie, w strzelb 4 d. 3. stycznia zabito 14 zajęcy. M. Stocznia, wł. hr. Wallisowa d. 7. stycznia w strzelb 4 zabito 1 rogacza, i 19 zajęcy. M. Staromieście, wł. Eksc. Adam Jędrzejowicz, w strzelb 7 zabito d. 19. stycznia, 40 zajęcy i 14 bażantów w bażantarni. Ogólny stan zwierzyny, szczególniej zajęcy, o wiele słabszy, niż w roku zeszłym. M. Czudec, wł. p. O. Wiktorowa, dnia 20. stycznia zabito w strzelb 7, rogaczy 6, lisów 3 i zajęcy 9, d. 30. stycznia zaś w strzelb 5, rogaczy 3, lisów 3 i 22 zajęcy. M. Dąbrowa, wł. p. Romuald Wojciechowski, zabito w strzelb 4, d. 18. stycznia 40 zajęcy. Stan sarn i kuropatw bardzo dobry, zajęcy średni, zaś w okolicach nizinnych giną zające na motylicę.

Powiat sanocki, m. Klimkówka, wł. p. Stanisław Ostaszewski, zabito w 6 strzelb d. 30. grudnia, 1 rogacza, 3 lisy i 14 zajęcy. Ilość lisów się wzmogła. Stan sarn coraz świetniejszy w okolicy, o rysiach w tym roku nie słychać. Zajęcy nieco mniej w tym roku, zwłaszcza w polach mało, choć dosyć ważne, przeważnie czterokilogramowe.

Powiat skałacki, m. Chlebów, wł. hr. Szczęsnowa Koziebrodzka, d. 3. stycznia, w wyjątkowo mroźnym dniu i podczas silnej zawieruchy zabito w 10 strzelb 1 rogacza, lisa i 38 zajęcy. Stan zwierzyny, szczególniej sarn, pomyślny.

Powiat śniatyński, m. Załucze, wł. p. M. Krzysztofowicz. d. 28. stycznia zabito w 14 strzelb 60 zajęcy.

Powiat sokalski, m. Uhrynów, wł. p. Eustachy Rylski, d. 17 i 18. stycznia zabito w strzelb 12, dzika 1, rogaczy 7, lisów 5, zajęcy 68. Stan zwierzyny dobry. M. Wolica komorowa, wł. p. Jan Gnoiński, zabito d. 10. stycznia w 4 strzelby 1 rogacza, 3 lisy i 29 zajęcy. M. Rozdziałów, wł. hr. Cetner, dnia 28, 29, 31. stycznia zabito w strzelb 8 rogaczy 5, lisów 14, zajęcy 45. Strzałów padło 148, polowano tylko po poł dnia.

Powiat stanisławowski, m. Dorohów, wł. p. Edward Kozicki, w strzelb 14, ubito d. 28. stycznia, 1 rogacza, 1 lisa i 29 zajęcy. Zające wytopiła w lecie powódź. M. Meducha, wł. lwowska kapituła łacińska, w strzelb 9 dnia 21. stycznia zabito 2 lisy i 28 zajęcy.

Powiat stryjski, m. Siechów i Uhełna, wł. hr. Karol Dzieduszycki, w strzelb 15 zabito d. 11 i 12 stycznia, dzików 2, rogaczy 19, lisów 8, zajęcy 87 i jarząbka 1, razem 115 sztuk na 286 strzałów.

Powiat tarnobrzeski, m. Baranów, wł. p. Stanisław Dolański, polowano d. 29. stycznia w strzelb 10 zabito: rogaczy 9, zajęcy 4. Zające giną na motylicę.

Powiat tarnowski, m, Wierzchosławice (pola), wł. ks. Eustachy Sanguszko, polowano d. 22. grudnia i 18. stycznia w strzelb 12 i 10, zabito 64 zajęcy i 1 lisa. M. Tarnowiec (pola), wł. ten sam, zabito d. 10. stycznia w strzelb 11, rogacza 1, lisy 2 i 36 zajęcy. Zające wytopiła powódź lipcowa, to samo stało się z kuropatwami, stadka złożone są z samym starek. Zwierzyna wystraszona z pól przez robotników, kryje się w obszernych nadbrzeżnych wiklinach i w razie wylewu, pada ofiarą wezbranych wód.

Powiat tarnopolski, m. Baworów, wł. fundacyi śp. hr. Wiktora Baworowskiego, zabito w strzelb 10, d. 4 i 5. stycznia, 1 rogaczy i 70 zajęcy, w Myszkowie, 3 rogaczy i 57 zajęcy. Właścicielem polowania jest hr. Michał Baworowski.

Powiat tłumacki, m. Puźniki, wł. p. Jan Jakubowicz, zabito d. 21. stycznia w strzelb 8, rogaczy 2, lisów 2 i zajęcy 37. Stan zajęcy bardzo się podniósł, dotychczas padało zajęcy w Puźnikach najwyżej 20. M. Bohorodyczyn. wł. p. Stadler, w strzelb 7, zabito d. 22. stycznia rogaczy 7, lisów 2, zajęcy 16. M. Kłubowce, wł. hr. Potocki, d. 26. stycznia zabito w strzelb 18, rogaczy 14, lisów 2, zajęcy 47. (C. d. n.)



DROBNE OGŁOSZENIA.

(po $1^1/_2$ ct. od wyrazu).

Wydawnictwo gal. Tow. łowieckiego. Redaktor odpowiedzialny: **Ludwik Józefowicz.**